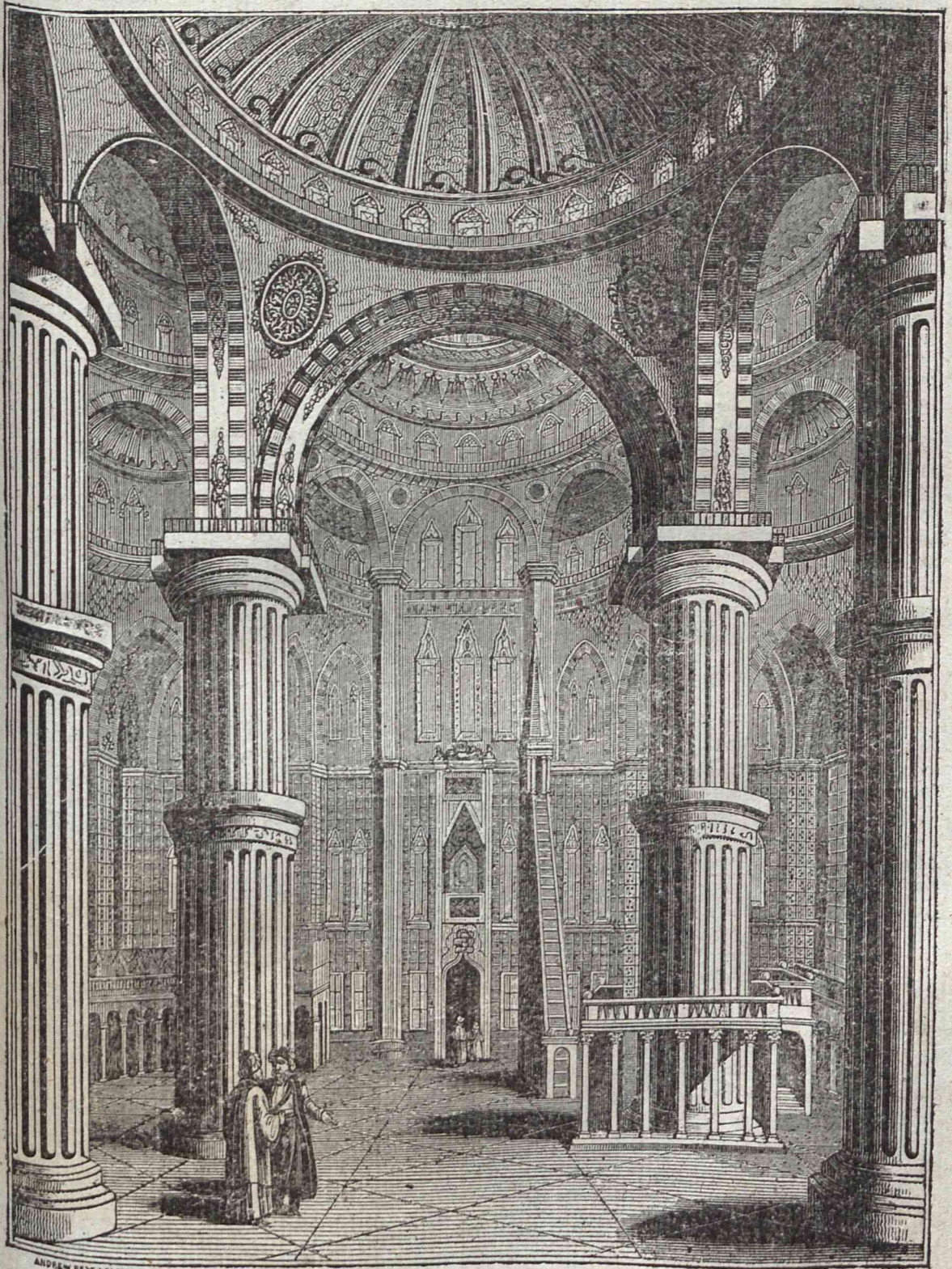


MECZETY TURECKIE.



ANDREW BENT LEBLANC.

Widok wewnętrzny Meczetu Achmeta w Konstantynopolu.

MECZETY TURECKIE.

Przed niedawnym czasem, bardzo trudno było Europejczykowi dostać się wewnątrz meczetu w Konstantynopolu i musiał na to otrzymać szczególny firman Porty, który go nie zawsze ochronił od zniewag ciemnego i zagorzałego społeczeństwa. I dla tego też znano tylko powierzchowną postać tych świątyń, nad których wielkością i pięknnością dziwili się podróżnicy, a których wzniosłe, lekkie i wytworne wieże, minaretami zwane, urozmaicają widok miasta. Teraz, dzięki reformom zaprowadzonym przez sułtana Mahmuda, uśmierzyła się duma i niechęć Turków, a zwłaszcza po ostatniej wojnie z Rosyją, i chrześcijanin może bez niebezpieczeństwa odwiedzać ich świątynie. Znany zatem wewnątrz meczetów, i każdy przyzna, że widok wystawiony na naszej rycinie, może nam dać o nich wysokie wyobrażenie.

Meczet sułtana Achmeta najbardziej zasługuje na uwagę, z pomiędzy czterestu meczetów cesarskich w Konstantynopolu. Zbudował go na placu Hippodromu, sułtan Achmet pierwszy, który panował od roku 1603 do 1617. Choć ten władca panował chwalebnie i sprawiedliwie, jednakże Muzułmanie, tym tylko z sułtanów przypisując prawo stawiania meczetów, którzy się wstawili wojną i podbojami, patrzali ze zgorznięciem, że sułtan Achmet I. wznosi ten gmach wspaniały, a mufty nie wahał się oświadczyć, że modły w nim składane, nie będą Bogu przyjemne. Mimo tego, piękny ten pomnik jest dowodem wspaniałości założyciela, nazywają go Alti Minarety, czyli meczetem o sześciu minaretach, gdyż wszystkie inne meczety w Konstantynopolu, mają tylko po dwa lub cztery. Meczet sułtana Achmeta, oddzielony jest od Hippodromu nie bardzo wysokim murem, w którym wybito troje bram i siedemdziesiąt dwa okien opatrzonych kratami. Mur ten otacza dziedziniec wyłożony marmurem i ozdobiony piękną fontanną sześcioboczną, z tegoż samego kamienia. W tym dziedzińcu ciągnie się pokryta galerya, na dwudziestu sześciu arkadach; jej kopuły pokryte ołowiem, opierają się na kolumnach z egipskiego granitu, mających brązowe podstawy i kapitele tureckie. Meczet zajmuje obszerny kwadrat. Uderza wysokością swoją; jego kopuła wyższa i lżejsza, niżeli kopuła meczetu Przedwiecznej Mądrości (patrz tom I M. D. kar. 327), opiera się na proporcjonalnych kolumnach, a każdy minaret wybiegając w górę nad kopułę ma trzy galerye wokoło. Jednym z najpiękniejszych widoków Konstantynopola, jest widok tego

meczetu, gdy spoglądamy na niego z wieżchołka dawnego obelisku stojącego w środku Hippodromu, a niezmierna kopuła meczetu Przedwiecznej Mądrości, okazuje się w oddaleniu.

Meczety sułtanów, jak uderzają ogromem i wzniosłością, tak są niezmiernie proste wewnątrz. W niektórych, jak n. p. w meczecie sułtana Achmeta, kolumny są wyrabiane, kopuły zaś i mury ozdobne płaskorzeźbami i mozaiką; lecz jest to cała ozdoba wnętrza meczetu i nie ma tam żadnych przydatków i sprzętów, któreby ich prostotę przerywać mogły. Religia Mahometa, podobnie jak Mojżesza, zabrania malować albo też wyobrażać jaką żyjącą istotę, nie cierpi ani posągów ani obrazów w meczetach. Organ który brzmi tak uroczyście w chrześcijańskich świątyniach, nieznanym jest Turkom. Muzyka ma u nich miejsce w salach tańczących derwiszów. Nie mają ani kazalnicy, ani ławek, ani krzesła. Trzy główne rzeczy znajdujące się w meczetach, a obok tego bardzo niepozorne, są: 1mo *Mihrab*, niewłaściwie zwany ołtarzem przez kilku podróżników: jest to bowiem nisza na sześć do ośmiu stóp wysoka, wykuta w murze w końcu meczetu, dla oznaczenia kierunku do Mekki, do którego to miasta wierni powinni obracać się pod czas modlitew; 2do *Mahfil muezzim*, nieco wyniesione miejsce po prawej stronie *mihrabu*, gdzie muezzimowie stawać podczas nabożeństwa; 3tio *Kursy*, pewien gatunek kazalnicy po prawej stronie *mihrabu*, na 6 lub 8 stóp nad ziemią, gdzie staje iman, gdy chce mieć naukę do ludu.

Meczety sułtańskie mają prócz tego *minber* i *mahfil* dla sułtana. *Minber* jest mały pawilon, podobny trochę do gołębnika; znajduje się w niejaki odległości od *mihrabu*, po lewej stronie prowadzą do niego wąskie i przykre schody. Podług przepisów alkoranu, schody te powinny mieć tylko 23 stopni. *Minber* przeznaczony jest dla *Rhatiba* czyli naczelnika meczetu, który w pewnych dniach odmawia długie wyznanie wiary i przeklina wszystkie religie oprócz mahometańskiej. W epoce gdy Turcy byli ludem zdobywczym i koseioty wydarte chrześcijanom zamieniali w meczety: w chwili otwarcia onychże i wzywania wiernych na poranną modlitwę, *Rhatib* wstępował na wschody opierając się na pałasz, a gdy odmawiał wyznanie wiary, trzymał go w rękę jako narzędzie zwycięstwa i podobnie zstępował, opierając się na nim.

Mahfil padyszaha, czyli *mahfil* cesarski, jest to komnata odosobniona, od przodu zamknięta złotą kratą, w której sułtan i dwór jego siedzi podczas modlitwy. Ta

izba która nie przewyższa murów meczetu, znajduje się w dosyć znacznej wysokości i zazwyczaj na przeciw kazalnicy *Rhatiba*.

Napisy wielkimi literami arabskimi i tablice na których wyryte są imiona Allaha, Mahometa, czterech pierwszych kalifów, Hassana i Husseina dzieci Alego, widać tu i owdzie na ścianach, ale tak prostych przedmiotów nie można liczyć do ozdób. W niejakię odległości, napisy wyglądają jak bazgranina czarnym kolorem, a tablice otoczone prostymi ramami z czarnego drzewa, zajmują ledwie trzy lub dwie stóp przestrzeni. Na niektórych są napisy z błękitu i złota, i wyrażają krótkie zdania z koranu. Lamy czasami ze srebra (a w meczecie Ahmeta są, a przynajmniej były ze złota drogiemi kamieniami ozdobione) wiszą w rozmaitych miejscach, lecz jest ich za mało i w zbyt znacznej odległości jedne od drugich, nie mogą zatem czynić wrażenia w tak obszernym obrębie. Czasem widywano w tych świątyniach małe lampy ze szkła kolorowego, podobne do lamp używanych w Europie do illuminacyi. Turcy zawieszają także w meczetach i wielkich mauzoleach jaja strusie: dziwaczny zwyczaj, którego przyczyny dotąd nie wiemy.

Podłoga meczetów jest w ogólności pokryta matami egipskimi, doskonałego gatunku. Aż do ostatnich czasów, Turcy nosili buciki safianowe lekkie, bez podeszwy, a na nich dopiero mocne papucie, albo pantofle z podeszwami, które zdejmowali nie tylko wchodząc do meczetu, lecz nawet przy progu pomieszczenia. Tym sposobem, maty nie brudziły się, a chociaż na prowincyi mała liczba pomniejszych meczetów była w zaniedbaniu, główne meczety Sztambułu utrzymywano w jak największym porządku. Wnętrza meczetu sułtana Achmeta, sułtanki Walidy, Solimana, Eyaub, odznaczały się pod tym względem. Teraz, gdy Mahmud zniewolił większą część poddanych do chodzenia w butach i trzewikach, trudno będzie ochronić maty na których kłękają Turcy, od zawałania kurzawy.

Oprócz czterestu meczetów cesarskich, zbudowanych z bardzo mocnych materiałów, a zwłaszcza z marmuru białego, lekko przeciętego szaremi żyłkami, znajduje się w Konstantynopolu sześćdziesiąt meczetów zwyczajnych, zasługujących także na uwagę i przeszło dwieście meczetów pomniejszych czyli kaplic.

Meczet, a dawniej kościół Przedwiecznej Mądrości, uważany jest jako pierwszy w stolicy, lecz do meczetu Achmeta sułtan udaje się na nabożeństwo pod czas Bairamu, Kurban-Bairamu i Melmud, trzech

głównych świąt tureckich. *Bairam*, zwany także *Id-ifta* czyli przerwa postu, następuje po Ramadanie i odpowiada Wielkiej-Nocy u chrześcian. To święto trwa trzy dni. *Kurban-Bairam*, czyli święto ofiar, przypada w siedemdziesiąt dni po Bairamie i trwa dni cztery, *Melwud* jest świętem które *Murad III.* ustanowił w r. 1588 na cześć urodzenia proroka; obchodzi je tylko sułtan i dwór jego; trwa jeden dzień i ogranicza się na odwiedzeniu meczetu *Achmeta*.

Turcy w ogóle obchodzą post *Ramadanu* tak ściśle jak żydzi i przez cały ten czas od wschodu słońca aż do zachodu nic nie jedzą, palą tylko tytuń i piją kawę. Niezmiernie zatem cieszą się ze skończenia postu. Tańczą w kółko przy dźwięku gitary i tamburynu, ściskają się wzajem i z radością mówią o pobliskiej nocy, tak niecierpliwie wyglądanęj, w której promień słońca oznajmi im koniec *Ramadanu* i rozpoczęcie *Bairamu*. Lamy i girlandy z liści, zawieszane są u domów, wszędzie ozdabiają okna, w bazarach najbogatsze ubiory wystawiają na sprzedaż.

Zwyczajna powaga Turków, rozwesela się nieco; idą szybszym krokiem; wszystko przybiera oznakę radości i uciechy. Nie przeliczone rzędy lamp oświetlają wielkie meczety, które wówczas czarowny tworzą obraz; doskonale widać meczety *Achmeta*, *Solimana* i *Przedwiecznej Mądrości*. Pośród ciszy nocnej, cały *Konstantynopol* i lud wygląda hasła uroczystości. Stojąc na wierzchołkach minaretów, imanowie z oczyma wlepionymi w niebo, śledzą pierwszy promień słońca. Skoro go tylko postrzegą, tysiące radosnych okrzyków brzmi w powietrzu, odbite echemi tego niezmiernego miasta. Godzina zabawy nadeszła, wynagradzają sobie post zeszłego miesiąca, jedząc i pijąc z niestęchanym żarłoczstwem.

Nazajutrz o świcie, pierwszym dzień *Bairamu* witają wystrzałami tysiąca armat. Mnóstwo okrętów ozdobionych banderami rozmaitych narodów i ustawionych w porcie, odpowiada wystrzałami, na wystrzały te, które rozlegają się w *Seraju* w *Tofana* i w *Koszarach*. W owej chwili, *Konstantynopol* najwspanialszy w świecie widok przedstawia. Szczęście maluje się na każdego twarzy. Przechodzący witają się jak bracia. Często zdarza się widzieć, że wówczas ubogi ściska rękę i całuje Hea potężnego i bogatego człowieka, który wita go jak równego, jak brata; jak wyznawcę prawdziwej religii, który kiedyś podobnie jak on podzielać będzie rozkosze raju. Każdy mieszkaniec ubiera się w jak najpiękniejsze suknie, a miłe dźwięki muzyki połączone z pieśniami na cześć proroka, brzmią

na wszystkie strony. Turcy mają osobny strój na tę uroczystość, zwany także Bairamem, który należy do dziedzictwa rodziny i przechodzi od pokolenia do pokolenia.

W pierwszy to dzień Bairamu, Sułtan udaje się ze wspaniałym orszakiem do meczetu Achmeta. Obszerna przestrzeń, którą wyobraża nasza rycina, zapełniona jest wówczas dworem sułtana i mnóstwem mustych, ulemów, baszów, bejów i innych dygnitarzy cesarstwa, w towarzystwie dzieci i służących bogato przybranych. Za powrotem, sułtan przejeżdża przez miasto, jadąc przez plac Hippodromu i potem wraca do seraju.

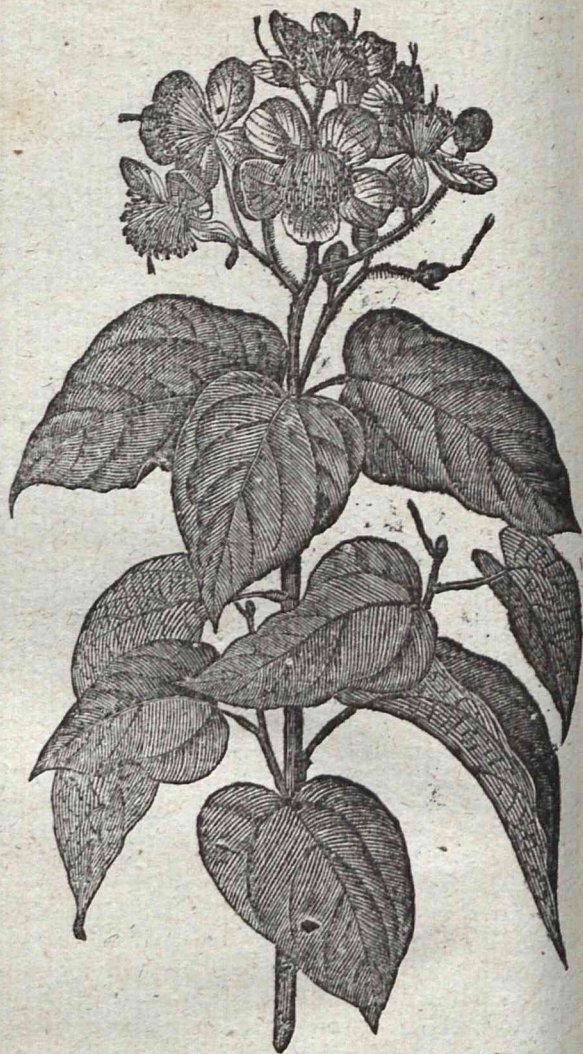
Reformy zaprowadzone przez sułtana Machmuda, zniósł ten zbytek wsechdni i te wspaniałe ubiory, a w ich miejsce zaprowadzona została odzież uboga, ale dogodniejsza do ćwiczeń wojennych.]

ORLEAN (Roślina)

Orlean jest krzak wysoki na dziesięć do dwunastu stóp, przy wierzchołku ma kilkanaście gałęzi połączonych w pęk gęsty, liście mają kształt serca, przy osadzie pięknie zielone, żyłki mają czerwonawej i ogonki prawie tak długie jak liście; kwiaty mają kielich, wewnątrz biały, w różowo wpadający, bez woni, z pięcioma zaokrąglonemi listkami. Owoc jest gatką prawie kulistą, najeżony czerwonawemi włosami i otwierający się na dwie torebki, w środku których znajduje się nasienie obwiniete czerwonym pyłem, mocno farbującym. Ta roślina znajduje się w południowych ziemiach Ameryki. Najlepszy Orlean pochodzi z Kajenny.

Mieszkańcy wysp tego półsferza, przed przybyciem Europejczyków używali orleanu pomieszanego z tłuszczem i nim smarowali sobie ciało; wydobywali go z dojrzałych nasion, trąc je w rękach wysmarowanych oliwą; tym sposobem otrzymywali daleko piękniejszą farbę, niżeli tę która jest w handlu. Przy tej pracy, murzyni podpadają bólowi głowy, któremu łatwo zapobiedzby można, zmieniając robotników, i używając potrzebnych środków ostrożności.

Orlean rozmnaża się tylko z nasienia. Zasiewają go od Stycznia do Maja, w roli świeżo uprawnej, w odległości czterech do pięciu stóp. Gdy roślina wznijdzie, wrywają słabsze odrostki, zostawiając mocniejsze krzaki. Plantacye orleanu dopiero w drugim roku są najmocniejsze i trwają przez trzy lata; potem je niszczą. W Saint Domingo, dwa razy do roku zbierają



Orlean, w Czerwcu i Grudniu. Orlean używany jest do farbowania, daje piękny kolor pomarańczowy, ale nie dość trwały.

PRZYPADEK W GÓRACH VERMONT

(Dokończenie.)

Jeszcze nie dawno było po wschodzie słońca, szedłem więc dalej w górę; była co raz bardziej stroma i przykra. Skończył się las wielkich dębów i jesionów, i widać było wystające skały, pokryte gęstemi kępami sosen, wierzb i małych jodeł. Torowałem sobie drogę, wahając się w obawie, jak żeglarz, który płynie około nieznanego brzegów. Na tak wielkiej wysokości, nie było żadnego zwierza, żadnego ptaka. Drzewa zamieniały się w poziome krzaki. Grunt niepłodny i skalisty, pokryty był tu i owdzie samym tylko mchem żółtym. Doszedłem nareście na wierzchołek i usiadłem na głazie z szarego granitu.

Jakże świetny obraz rozwinął się wówczas pod moimi stopami! Był to jeden z najpiękniejszych dni w porze letniej. Pogodne i czyste powietrze, dozwalało widzieć wszelkie kształty i odcienia krajozbrazu. Spojrzałem najprzód na obszerną górę, na mnóstwo jej cyplów, na jej piękne doliny i lasy, mnóstwem odcieni zieloności pokryte. Wyraźnie widziałem wioskę, z której wyszedłem dziś rano. Za nią okolica przecięta była głębokimi dolinami, pośród których widać było smugi uprawnej roli; strumienie płynące wężykami, błyszczały jak srebrne wstęgi pośród ciemnych lasów, a daleko na zachodzie, biała przetrzeń jeziora Champlain, ciągnęła się od północy ku południowi, ile tylko można było okiem zasięgnąć. Na końcu widokregu, za jeziorem, przeglądały pasma gór Shawangunk, błękitną zielonością pokryte.

Zajęty wspaniałością tego obrazu, wpatrywałem się w niego w zadumaniu, gdy słońce schylające się ku zachodowi, ostrzegło mię, że już czas wracać do wioski. Zstępując z góry, postrzegłem białą chmurę, która zaczynała powstawać na wierzchołku. Za chwilę wzrosła szybko, zgaściła się, ściemniała i prosto płynęła ku mnie. Schodziłem śpiesznie, lecz gdy już doszedł do części góry pokrytej lasem, gruba mgła otoczyła mię zupełnie. W przeciągu dwóch minut straciłem ślad; nie można było widzieć o dziesięć kroków, musiałem stapać po omacku, pomiędzy gęstymi krzakami i iść szerszym miejscem, które z razu poczynałem za ścieżkę, lecz było to łóżysko potoku, dochodzące do przepaści. Chciałem się wrócić, lecz mgła zgęszczała się co raz bardziej i w krótko nie mogłem rozemnać czyli idę ku zachodniej, lub też ku wschodniej stronie. Wdzierałem się na każdą wystającą skałę, jaką tylko napotkałem, spodziewając się, że dostrzegę jaki ślad znany. Była to daremna praca!

Położenie moje stawało się coraz przykrejszym; najmniejsze niebezpieczeństwo było to, iż musiałbym przepędzić noc w tej puszczy. Lekko byłem ubrany, a nocy na górach są zimne; głód zaczynał mi dokuczać.

Niestety! rzekłem do siebie, wszystko mi się zdaje, że nie będę wieczerzać, a zasnawszy, obndzę się zapewne w łapach niedźwiedzi. Szedłem więc dalej, spodziewając się, iż mgła ustanie. Nie spełniła się nadzieja. Ciemność co raz to była większa. Poznałem iż muszę wyszukać sobie jakiego schronienia, gdziebym mógł aż do rana pozostać. Z początku chciałem wdrzeć się na drzewo, dla o-

chrony od dzikich zwierząt, lecz zimny wiatr zniewolił mię do szukania wygodniejszego przytułku. Odkryłem nareście wąską rozpadlinę, która mogła mię zasłonić od wiatru, a jej ściany porośłe były mchem gęstym.

Za pomocą strzelby, zapaliłem stos liści i suchych gałązek, a wysoki płomień przedwniściem do jaskini, zabezpieczył mię od napaści dzikich zwierząt. Słońce już zaszło, mgła ustała, a ciężcy świecący na zachodzie, czasami rzucał tylko wątpliwe światło. Nie długo potem ciężcy zaszedł, a głęboką ciemność lasu, przerywał tylko płomień przezemnie wzniesiony. Pomimo utrudzenia, przez długi czas nie mogłem zasnąć. Ogień i strzelba nabita, ochraniały mię od obawy. Posępność nocy i pustyni zajęły moją duszę. Nadstawiałem ucho na szum wiatru, zdawało mi się że słyszę w dalekości wycie wilków, lecz dotąd żaden z mieszkańców lasu nie powążył się przerywać mojej samotności. Umyśliłem nareście nie opierać się żądzy spoczynku. Nagromadziłem tyle drzewa ile go było potrzeba, ażeby aż do rana ogień utrzymać, i położywszy się na skale mchem pokrytej, w głębi jaskini mocno zasnąłem. W takich okolicznościach mamy rozmaite marzenia senne. Gdy już zaczęły się zamykać moje powieki, patrzałem w kłęby dymu wzbijające się w górę, a moje wrażenia mieszały się co raz bardziej. Zdawało mi się, że mnóstwo ogromnych niedźwiedzi skacze na sklepieniu z liści zielonych. Zdało mi się potem iż błędzę pośród lasu, że za każdym drzewem stoją drapieżne zwierzęta, a moja strzelba nie chce dać ognia; usiłowałem wtedy wdrzeć się na wierzchołek góry i obsuwałem się za każdym krokiem, a gdy już był na wierzchołku, porywała mię fantastyczna chmura, niosła przez powietrze rozrtwierała się nagle i rzucała w jezioro Champlain.

Obudziłem się w tej chwili i zacząłem opierać się jakiemuś przedmiotowi, który mię porwał rzeczywiście. W mgnieniu oka uczułem że gdzieś lecę; doznałem uderzenia, które mię o mało nie ogłuszyło; zdało mi się że jeszcze śpię; spojrzałem w koło siebie; wszędzie panowała jak najgłębsza ciemność i tylko w górze błyszczał dziwny promień, jakoby otwór w niebie, przez który czerwonawe światło błyskało w nierównych przerwach. Wstałem chcąc wyjść z tego miejsca. Niestety! spotkałem przed sobą prostopadłą ścianę, spojrzałem znowu i poznałem nareście, że jestem na dole głębokiej rozpadliny i że światło w górze, pochodzi z otworu, którą wpaść musiałem.

Potłuczenie i ciasne miejsce w którym byłem zamknięty, przekonały mię, iż obecne położenie moje nie jest marzeniem.

W Górach Zielonych znajduje się wiele takowych jaskiń; podróżny idzie po mchu, którym rozciągnięty od skały do skały, utrzymuje go nad przepaścią. Na takim miejscu położyłem się i zapaliłem ogień, nie do nysłając się tak zdradnej zasadzki. Mech załamał się pod ciężarem ciała mojego.

Przetarłem oczy; nie miałem rany lecz kilkanaście bolesnych stłuczeń. W głębi jaskini były zeschnięte liście, osuniona ziemia i gałazki: one to uczyniły lżejszym upadnięcie moje i ochroniły od śmierci; spadłem bowiem przynajmniej z wysokości stóp dwudziestu. Wyciągnąwszy ręce, postrzegłem, że mogę dosięgnąć dwóch ścian jaskini. W zupełnej ciemności postępowałem dalej, lecz ściany były prostopadłe i na nic nie natrafiłem, coby mogło dopomódz mi do wydobycia się z tego miejsca. Doszedłszy do końca jaskini w jednej stronie, obróciłem się ku drugiej. Ściany były wszędzie gładkie i śliskie. Cóż począć? czyliż mam okropną śmiercią z głodu zakończyć życie? Zaczekajmy aż do rana, pomyślałem sobie, nie poddawajmy się rozpaczcy. Może znajdę jaki otwór. W tém przstraszył mię szelest jakiegoś ciała, rzucającego się w głębi jaskini. Za chwilę ujrzałem dwoje błyszczących oczu wlepionych we mnie. Dreszcz przeszył mię wskroś, włosy najeżyły się, pot zimny spłynął z czoła, stanąłem skamieniały. Wszystkie w świecie byłbym oddał w tej chwili za najszabszy promyk nadziei. Byłem w jaskini wilka, sam na sam ze strasliwym mieszkańcem tej jaskini, bez żadnego środka ucieczki i obrony.

Przez czas niejaki przypatrywaliśmy się jeden drugiemu, lecz się nie ruszył. Wkrótce odzyskałem nieco przytomności umysłu, i przekonałem się iż muszę śmiały krok uczynić albo zostać pożartym. Miałem tylko nóż kończasty, którym wziętem do obcinania gałęzi i krzaków. Wyjąłem go z kieszeni, a schwyciwszy w prawą rękę, gotów byłem uderzyć na zwierza. Był to czyn rozpaczcy, ale wstrzymała mię inna uwaga. Mój dziki nieprzyjaciel siedział cicho w kącie jaskini. Od kilku minut byłem z nim, a nie zaczął mię jeszcze. Przypomniałem sobie, że wilk pomimo dzikości swojej jest wielkim tchórzem: Ponieważ mię nie zaczepia: rzekłem do siebie: zapewne boi się; śledziłem każde jego poruszenie, z zaufaniem i odradzającą się odwagą.

Nie omyliłem się w moich domysłach. Zdaje się że wilk spał głęboko, gdym wpadł

do jaskini i zapewne na niego zlecieć musiałem. Czas upływał, a ja ciągle patrzałem na wilka, bojąc się aby nie przezwyciężył swojej trwogi i nie odzyskał zajadłości. Lecz ciągle siedział spokojnie, a gdy światło dzienne dostało się do jaskini, ujrzałem wilka siedzącego w kącie i drżącego bardziej odemnie. Niestety! powrót dnia powiększył moje udręczenie. Nie podobna było wydobyć się z tej jaskini. Jeden tylko był wązki otwór, którego wilk zaledwie mógł się wczołgać. Otwór ten był właśnie przy tej stronie, przy której ja stałem i dla tego zwierzę nie mógł ratować się ucieczką. W takim położeniu rzezy, widziałem iż muszę umrzeć z głodu, jeżeli zwierzę nie rzuci się na mnie, skoro choć jąda przemoże jego obawę. Godziny upływały. Promienie słońca dochodzące do jaskini, wskazywały że już musi być około południa. Udręczenie i czezość przyprowały mię o zawrót głowy. Usiadłem poddając się mojemu losowi i myśląc jakie wnioski czynić będą, jeżeli kiedyś znajdą moje kości w tej jaskini. W tém, głuchy jęk przerwał moje dumanie. Wyobrażałem sobie z razu, iż wilk wygłodniały zamyśla rzucić się na mnie. Duszę moją poleciłem Bogu, gdyż tak byłem słaby iż nie byłbym zdołał stawić oporu. Wkrótce usłyszałem szczekanie psa. Jakże oświecała radość, którą wówczas uczułem, poznając że śpieszą mi na pomoc! Szczekanie co raz bliżej było słyhać, nie mogłem wątpić że moi przyjaciele szukają mię i znaleźli moje ślady. To, co mi przywróciło nadzieję i siłę, pomnażało przestach wilka. Drżący przycisnął się do skały, a na każde zaszczekanie psa odpowiadał żalostnym mrukiem. Za parę minut, wołania ludzi dały się słyszeć nad głową moją, a krzyk mój naprowadził ich nad brzeg jaskini. Można sobie wyobrazić jak się zdziwili; znalazłszy mię w tém miejscu. Niezwłocznie zrobili drabinkę, po której wydostałem się na wolność.

Powiedzieli mi, iż ocalenie winien jestem wiernemu psu mojemu, który ślad mój wytropił. Wilk natychmiast wybiegł zwyczajnym otworem, skoro tylko uwolniony został od mojej obecności. Włosy moje nie zbieleły podczas tej przygody, ale nigdy nie zapomnę o niej. Heż to razy widziałem we śnie dwoje iskrzących oczu, wlepionych we mnie pośród ciemności! Heż razy ponowiły się w marzeniach sennych, udręczenia tej nocy, przepędzonej sam na sam z wilkiem, w jego własnej jaskini!

FILOZOFIA. MORALNOŚĆ.

Droga do szczęścia przez J. Droz, (Essai sur l'art d'être heureux) przetłóżył z francuzkiego M. W. Kraków, nakładem i drukiem J. Czecha 1836.

Naukowe pisma nasze, a zwłaszcza Kwartalnik krakowski, wiele zajmują się filozofią, a mianowicie filozofią szkoły niemieckiej, na głębokich spekulacyjnych rozumowaniach opartą. Oddając sprawiedliwość usiłowaniom naszych pisarzy, którzy pragną oswoić ziomków swoich z przedmiotem prawie zupełnie dla nas obcym dotąd, z prawdziwem upodobaniem i słodkiem zajęciem wspomnieć nam przychodzi o dzieło, którego przedmiotem jest Filozofia praktyczna i moralna, filozofia naucająca nas jak mamy dopełniać powołania naszego na tym świecie, żyć zgodnie z sumieniem, bliźniami, prawami pod którymi zostajemy, jak mamy unikać wszystkiego co zatruć może krótki nasz pobyt na ziemi. Takiem dziełem przysłużył się Francuzom J. Droz, nam zaś pan M. W. pięknym i wypracowanym przekładem. W krótkiej przemowie tak się odzywa tłumacz do czytelnika:

»Przedsiębiorząc dziełka niniejszego przekład, użyteczność jego miałem szczególniej na względzie, w każdym człowieka położeniu, w każdej doli. Komuż z nas nie zdarzyło się widzieć ludzi posiadających to wszystko, co tylko na świecie szczęście stanowić zwykło, a przecież skarżących się i utyskujących? Nie byli, nie są szczęśliwymi, bo się nie chcieli i nie chcą zastanowić nad korzyściami położenia swego, bo nie umieli i nie umieją użyć darów tak hojnie sobie od natury i od losu udzielonych. Z drugiej strony znowu, nie przytrafiłoż się napotkać ludzi dotkliwie i srogo czasem od losu prześladowanych, zachowujących przeciw duszy spokojność i unoszących z sobą we wszelkich spółecznych stosunkach wypogodzone czoło, najpewniejszą wewnętrznego zadowolenia oznakę? Czyste sumienie jest zapewne dla człowieka najpiękniejszym i niezbędnym szczęściem warunkiem: lecz i przy niem trzeba pracy nad sobą, żeby zmiennie i rozmaite życia koleje spokojnym i jednostajnym przynosić umysłem. Jest więc pewna ku temu zmierzająca nauka, są pewne zasady, których się trzymać należy, by do zamierzonego trafić celu. To właśnie jest przedmiotem niniejszego dziełka. W przekładzie starałem się ile możności zgłębić myśl autora i wiernie ją oddać; z przywilejonych przez niego przykładów, pozwoleń sobie jedynie wypuścić te, które wyjątkownie miejscowości kraju i dziejów Francuzi dotyczyły się, jak również ustęp je-

»den dotyczący się Grecyi, która dziś pozostać swą polityczną zmieniwszy, nie zostaje już jak niegdyś pod władzą muzulmanów. Z resztą, niech łaskawy czytelnik mniej zważa na niedokładność przekładu, a więcej na chęć tłumacza.»

Dziełko składa się z 20 rozdziałów, obejmujących: Wstęp.— O rządach.— O spokojności duszy.— O nieszczęściu.— O zdrowiu.— Dobry byt.— O opinii i przychylności ludzkiej.— O uczuciu jakie ludzie w nas wzbudzać powinni.— O niektórych cnotach.— O małżeństwie.— O dzieciach.— O przyjaźni.— O rozkoszach zmysłowych.— O rozkoszach serca.— O rozkoszach umysłu.— O rozkoszach wyobraźni.— O melancholii.— O uczuciach religijnych.— O szybkim życiu upływie.— O śmierci.— Zakończenie.

Zebrał w niem autor, prawdy, będące owocem szlachetnego serca, wytrawnego rozsądku i długiego doświadczenia. Dzieło to zasługuje na jak największe upowszechnienia, a zwłaszcza teraz, gdy obok zbiorów encyklopedycznych i przekładania lekkich plodów literatury, żadne poważniejsze dzieło nie zasila naszego czytelnictwa. Z dzieła niniejszego przytaczamy rozdział IV. o postępowaniu w nieszczęściu.

Chcąc upowszechnić prawidła, trzeba je dostępnymi uczynić. Są cierpienia, których ni rozum, ni przyjaźń ukoić nie zdoła. Szanujmy żal tego, co przez śmierć drogiej mu osoby, połowę swego utracił jestestwa. Czas tylko sam może w nim osłabić żywe jeszcze wspomnienia i cierpienia złagodzić. Chcieć człowieka nie czułym uczynić, jest to chcieć zmienić jego naturę. I jakażby z tego wynikła korzyść? Surowa stoicizmu nauka, hartując duszę przeciw okrutnym srogiemu losu ciosom, pozbawia ją zarazem i czucia w doznawaniu rozkoszy. Nic niedorzeczniejszego jak słowa pociechy udzielane zwykle temu, co płacze nad stratą dziecięcia, żony lub przyjaciela. Coś utracił, mówią, już się nie wróci.— Ach! gdybyż się mogło wrócić, zamiast płaczu i narzekania, użyłbym wszelkich ku temu środków; właśnie dla tego łzy leję, że się wrócić nie może.— Łzy te na nic się nie przydadzą.— One są dla mnie ulgą.— Dziecię twoje szczęśliwe, nie doznało jeszcze trosk życia.— Ja mu chciałem dać zasmakować jego rozkosze.— Przyjaciół twój w długim życiu zawodzie, stał się cnot wszelkich wzorem.— Dla tego właśnie winienem go bezustannie opłakiwać.

W żalu, któremu ludzie się oddają, nie mała częstokroć daje się postrzegać przesada; więcej tam jest względów na przy-

zwoitość jak popędu serca, lada roztargnienie natenczas pocieszy. Lecz udzielane pociechy stają się prawie męczarnią, dla duszy do żywego przejętej, która w żalu swym zupełnej potrzebuje swobody. Samotność unosi wprawdzie wyobraźnię, lecz nieci oraz pocieszające pomysły. Jój to winniśmy, iż nam się czasem zdaje, że osoba przez nas opłakiwana jest obok nas, że ją widzimy, że z nią rozmawiamy. Tak to dobroczynna opatrność umie do cierpień zastosować pociechy i w największym nieszczęściu najżywsze budzić nadzieje.

Więcej może niżby się z razu zdawać mogło, żal sam przez się szuka pociechy. Staramy się zawsze cierpienia nasze łagodzić; różnimy się tylko w użyciu ku temu sposobów, a to w miarę mniej lub więcej dotykających nas ciosów. Dwie osoby postradały przyjaciela; jedna z nich porzuca miejsca w których przemieszkiwał, szuka roztargnienia i usiłuje poniekąd o nim zapomnieć; druga przeciwnie, w miejscu pozostaje i za pomocą pamiątek którymi się otacza, chciałyby go niejako do życia przywrócić.

Smierć ukochanej osoby jest może jedynym prawdziwym nieszczęściem: jeżeli nas po wielu innych dotyka przygodach, wszystkich pamięć zacierza i daje nam uczuć, żeśmy jeszcze dotąd prawdziwego nie doznali żalu. Kiedy więc jest nieszczęście, pod którego brzemieniem uledz koniecznie musimy, niechajże przy nim jedynie ten smutny pozostanie przywilej: w innych wszelkich przeciwnościach, powinniśmy sami w sobie znaleźć pomoc i ratunek; albo ich uniknąć, albo je mężnie znieść zawsze można.

Wielu moralistów pisało już o tém, jak należy troski i cierpienia życia uważać. Nie wdając się bynajmniej w rozbiór zasad tylokrotnie już powtarzanych, a częstokroć mniej do wykonania łatwych, podam tu krótki rys własnej mojej filozofii.

Codziennie powtarzać sobie winniśmy: nie ma stałego szczęścia na ziemi. Nie tracąc czasu, trzeba używać dozwolonych w życiu rozkoszy, bo troski i cierpienia mogą być tuż za nami. Niech nas wszakże bynajmniej te nie obchodzą, co w ludzkim tylko istną mniemaniu; inne starajmy się ile możności od siebie oddalać: a gdy im uledz wypadnie, wtedy nie zastanawiając się już wiele nad przeszłością, poddajmy się najwyższej woli i pozbawieni szczęścia, zachowajmy ile tyle spokojności. Zdanem mędrców, spokojność duszy ma być skutkiem wrodzonego usposobienia i sprzy-

jających okoliczności; jest ona więcej jeszcze skutkiem dojrzałej rozwagi. Biada temu, kto w roskoszach uśpiony, nie pomni że go smutne czeka może ocknienie. Wielkie nieszczęścia i nadzwyczajne wypadki, są wprawdzie rzadkie, lecz jakiegokolwiek nas polkać mogą, zawsze będą trudne do zniesienia, jeżeli wprzód przewidziane nie były. Zastanawiajmy się niekiedy nad nieszczęściem, tak jak się zastanawiamy nad charakterem osób, z którymi żyć nam przychodzi.

Rozwaga uprzedza doświadczenie. Odbiera nieszczęściu tę postać nowości, która więcej jeszcze przeraża. Mędrzec, przeciwności jakiej doznający, wcześniej się już oswoił z nowym swym położeniem, ocenił cierpienia, przewidział pociechy. Jakie bądź czeka go męszkanie, nie znajdzie on się w nim zupełnie obcy.

Słabi zapaśnicy, w niezmiernie światła rzuceni szranki, nie czekajmy, aż los w nas ugodzi; dotkliwie i trudne do zagojenia byłyby natenczas rany. Uzbrójmy się wcześniej przeciw nieszczęściu; jeżeli nas dotknie, nie zgniecie nas przynajmniej.

Lecz pomnąc, na jakie zapasy kiedyś męztwo nasze wystawione być może, niech wszakże żadna obawa obecnej nie zachmurza nam chwili. Nic trudniejszego do miarkowania jak przezorność: gdy jój za mało, łatwo jakiemu popaść nieszczęściu; gdy jój za wiele, ciągle nędzne prowadzimy życie.

Jak gdyby natura, w krótkim życia naszego zawodzie, nie dość już na nas zebrała cierpień, nowe sami sobie tworzymy. Cierpienia te w przesadach i próżności ludzkiej biorą swój początek i trudniejsze są czasem do zniesienia jak istotne nieszczęście. Nie jeden co mężnie w niebezpiecznym stawiał się położeniu, nie śpi dla tego, że go na ucztę prosić zapomniano.

(Dokończenie nastąpi).

CENA PRENUMERATY MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, w KANTORZE GŁOWNYM w xiegarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Nowo-Senatorskiej Nro 476 Lit. D. oraz w innych xiegarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie złp. 10.
na Prowincyi, w Urzędach Pocztowych i po xiegarniach, rocznie zł. 24, półrocznie złp. 13.